TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 49. *Chicago, Ills., 3 Czerwca, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘSĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

XL.

Spodziewamy się, że szanowni czytelnicy nie zapomnieli Mata Cowls, kata, któregośmy zostawili w rękach lekarzy po owem niezbyt łagodnem obejściu, jakiego doznał od Willa Sidelera, przed jego ucieczką z Newgate.

— Powiedzno, Mat, czy nie słyszałeś co się stało? — rzekł do niego jeden z dozorców więziennych, ten sam, którego oszukała hojność i pobożność Dawidsa.

— Może go już schwytano? — zapytał mściwy starzec, z trudnością podnosząc się na łóżku więziennego szpitala.

Dozorca skinął głową na znak potwierdzenia.

— Ach! byłem pewny, że go złapią! — zawołał Mat z radosnem chichotaniem, które

miało w sobie razem coś na kształt syku węża i wycia hyeny; — po całych nocach o tem marzyłem, a sny moje zazwyczaj się sprawdzają. Kiedy powróci?

— Hola, mój poczciwcze, — rzekł stróż więzienny, — wpierw osadzą go w Norwich za inną zbrodnię.

— W takim razie nie odwiozą go do Newgate?

— Być może, że nie.

— Tedy ja muszę udać się do Norwich!— rzekł Mat Cowls z silnem postanowieniem. — Wyświadczyłem raz przysługę Lanemu, (tak się nazywał kat urzędujący w Norwich), teraz kolej na niego, aby mi nawzajem wyświadczył grzeczność!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że nie miałbym chwili spokoju, gdyby kto inny, a nie ja powiesił Sidelera.

— Ale tyś chory!

— Ja zaraz wyzdrowieję! czuję, że mi lepiej będzie! Wiadomość, którą mi przyniosłeś daleko mi więcej poskutkowała, niż wszystkie lekarstwa.

Mat Cowls dotrzymał słowa. Na pięć dni przed otwarciem posiedzeń, pojechał do Norwich.

Chociaż sala sądowa przepełniona była cisnącym się tłumem ciekawych, bo zabójstwo sir Williama Mowbray w całem hrabstwie wielkie sprawiło wrażenie, kat znalazł jednak sposób dostania miejsca dla siebie w jednej z trybun naprzeciw obżałowanego. Przybył w widocznej chęci zabawienia długo w sali, bo miał z sobą mały koszyczek napełniony prowiantem, mianowicie torebkę papierową z pasztecikami i biszkotami i butelkę ulubionego napoju, wódki na pół z wodą rozpuszczonej. Zadowolenie jego byłoby zupełne, gdyby mógł jeszcze zaćmić lulkę.

Dozorca więzienny, Johnstone, i jego pomocnicy wprowadzili obżałowanego na kilka minut wprzód, nim sędzia miejsce swe zajął; chcieli tym sposobem zaspokoić ciekawość zgromadzonej publiczności.

Sideler, na którego wszyscy zwracali oczy, zuchwałym i pewnym wzrokiem patrzył dokoła sali. Ufność jego obrońcy dodawała mu otuchy; adwokat nie myślał, aby sąd przysięgłych skazał obwinionego na mocy świadectwa starego Marcina, którego zamierzał wystawić w obronie jako obłąkanego. Najbardziej go tylko niepokoił sędzia, którego sprawozdanie rzadko kiedy obżałowanemu sprzyjało.

Skoro Sideler przyszedł do ławki dla siebie przeznaczonej, Mat Cowls utopił w niego wzrok tchnący nienawiścią bez granic. W spojrzeniu tem było coś strasznego i szyderskiego razem, jakby chciał powiedzieć: — Otóż ja cię powieszę! — Zaledwie więzień spostrzegł to wejrzenie gadziny, dotychczasowa odwaga jego ustąpiła miejsca najgłębszej rozpaczy. Wszyscy prawie zauważyli tę nagłą zmianę, nie domyślając się wszelako właściwej przyczyny. Kat potrząsał głową z uśmiechem, a pomięszanie obżałowanego bawiło go niewymownie.

— Tam... tam! — rzekł więzień do swego obrońcy.

— Co takiego, kochany panie?

— Widzisz pan tego człowieka?

— Widzę.

— Trzeba, żeby się ztamtąd usunął!

— A to dla czego?... czy to który ze świadków?

— Nie panie!

— A więc, mój kochany, nie podobna mi usunąć go ztamtąd, chyba, gdyby się nieprzyzwoicie zachowywał.

— Powiadam panu, że on musi odejść! — nalegał więzień coraz natarczywiej. — Nie mogą mnie sądzić, dopóki on tam będzie; nie przystanę na to; sam widok jego do szaleństwa mnie przyprowadza!

— A w czemże ci zawinił?

— To jest kat! — szepnął obżałowany, zakrywając dłonią oblicze.

Prawnik podniósł oczy i spojrzał bacznie na Mata Cowlsa. Ten z najzimniejszą krwią nawzajem patrzył na niego; poważał on bardzo ludzi tego rzemiosła, mówiąc, że panowie adwokaci są jego najlepszymi przyjaciołmi.

— Ach prawda! to rzecz szczególna! — rzekł obrońca.

— Okropna!... panie łaskawy, to straszne! — mruknął zabójca.

— Mój kochany panie, muszę przyznać, że w istocie jest to rzecz dosyć niezwyczajna; ale się pan tem nie przerażaj. Nawet można skorzystać z tej okoliczności; już wiem, jakie zrobię wrażenie wymownem przemówieniem do sądu przysięgłych; zobaczymy przerażenie grozy w całej publiczności, współczucie tłumu dla obżało-

wanego!... Jedna tylko okoliczność urąga naszej sprawie... adwokat koronny ma prawo odpowiadać!

Rzeczywiście, było to bardzo fatalne, jak się później okaże.

Przez czas rozprawy, królikarz ciągle odwracał oczy, aby nie widzieć swojego wroga; i tylko wtedy, gdy zatrzymano się dla rozebrania jakiej szczególnej okoliczności przyjaznej lub potępiającej obżałowanego, spotkały się ich spojrzenia, ale i to trwało zbyt krótko; twarz oprawcy zachowywała bez przerwy swój wyraz ironiczny.

Po przeczytaniu aktu oskarżenia, wezwano więźnia, aby wyjawił swoje zdanie, wedle przyjętych formułek sądowych.

— Niewinny jestem! — odpowiedział.

— Hm... hm! — mruknął kat.

— Jakże chcesz, by cię sądzono?

— W imię Boga i ojczyzny! — odpowiedział Sideler wedle formy zwyczajnej.

— Niech ci Bóg zeszle uwolnienie! — dokończył pisarz sądowy tonem obojętnym i nosowym, wręczając sędziemu akt oskarżenia wraz z innemi papierami.

Tym razem zamiast mruczenia: „hm, hm!" usłyszano w tłumie rodzaj gdakania; nikt, oprócz obżałowanego nie wiedział od kogo ten szmer pochodził; on tylko czuł, że był to głos jego nieprzyjaciela, Mata Cowlsa.

Gdy słudzy zmarłego baroneta złożyli swoje zeznanie dotyczące stanu, w jakim znaleźli ciało swego pana, wezwano starego masztalerza.

Przez wzgląd na wiek i cierpienia starca, sędzia kazał mu podać krzesło.

Staruszek wszedł wsparty na ramieniu Joego Beans.

Złożył świadectwo poważnie, głosem dobitnym i wyraźnym, i uznał Sidelera zbójcą swojego pana.

Potem adwokat Gork zabrał głos w obronie obżałowanego.

— Dawno pan znasz więźnia siedzącego u kratek? — przemówił do Marcina. — Przypatrz mu się pan dobrze, i pomnij, żeś przysiągł mówić szczerą prawdę!

— Od pięćdziesięciu lat, — odpowiedział starzec.

— Służyliście razem w Opactwie Carrow?

— Tak, panie.

— I byliście rywalami?

— Rzeczywiście.

— Rywale! — powtórzył adwokat uradowany tem ważnem zeznaniem. — Słyszycie, panowie przysięgli, świadek przyznaje, że byli rywalami. Wiedziałem dobrze, że w końcu potrafię prawdę wykryć.

Chociaż w mowie Marcina nie było ani wahania, ani chęci tajenia tej okoliczności, prawnik jednak pragnął wmówić w sędziów, że tylko jego zręczność nadzwyczajna wydarła świadkowi to zeznanie.

— Mój panie, — odezwał się znowu, — jeszcze raz panu przypominam, żeś przysiągł prawdę mówić; z jakiego powodu Sideler został odprawiony ze służby sir Williama Mowbray?

— Możeby lepiej było, — odparł świadek z niechęcią, — gdybyś się pan o to zapytał rządzcę mego zmarłego pana.

Tu Will Sideler szepnął kilka słów do ucha swego obrońcy. Ale Gork, wyobrażając sobie, że wpadł na trop nowej i ważnej okoliczności, mogącej posłużyć do obrony, nie odwrócił nawet głowy i mówił dalej temi słowy:

— Tego nie zrobię, mój panie... Od kiedyż to świadkowie przypisują adwokatowi, jakie im powinien zadawać pytania, i do kogo je ma zwracać? Panowie przysięgli ocenią odpowiedź pańską! Jeszcze raz pytam, za co obżałowany został wydalony ze służby nieboszczyka sir Williama Mowbray?

— Za to, że podczas kłótni ze mną nóż wydobył i mnie zranił! — odpowiedział Marcin łagodnie.

Odpowiedź ta sprawiła wrażenie bardzo niekorzystne dla więźnia, a powszechne obudziło zajęcie dla biednego starca, który widocznie nie chciał, aby własna jego krzywda dołączyła się do zarzutów, ciążących na obżałowanym. Usłyszano znowu gdakanie wśród tłumu widzów. Szeryf zawołał: — Uciszcie się! — Znowu oczy kata i Sidelera spotkały się przelotnie; ten ostatni widział się już osądzonym.

— Ach! hm! — mruczał adwokat. — Pan jesteś wspaniałomyślny... istotnie... znamy wszyscy tę przesadną wspaniałomyślność! Czy masz pan świadków tego osobliwszego zdarzenia?

— Mam.

— Wymień ich pan.

— Mistress Jarmy, ochmistrzyni w Carrow i Nicholls, piwniczy; oprócz tego mam świadectwo lekarza, który moje rany opatrywał. Widzę go nawet w tej sali.

I staruszek wskazał doktora Martineau, siedzącego pomiędzy przysięgłymi.

— Zdaje mi się, kolego Gork, — szepnął sędzia nachylając się ku obrońcy, — że dobrzebyś zrobił, gdybyś zmienił sposób obrony twojego klienta!

Adwokat zarumienił się; poznał, że mimowolnie zaszkodził sprawie obwinionego.

Znów dało się słyszeć krząkanie do gdakania podobne.

— Uciszcie się! — krzyknął szeryf oglądając się w koło z gniewem.

— Pan przyznajesz, mówił dalej adwokat do sędziwego świadka, usiłując wprowadzić na lepszy tor sprawę bronioną, — pan przyznajesz się do uczucia urazy, zadawnionej złości przeciw więźniowi u kratek stojącemu?

— Wcale nie!

— Ani za to, że był współzawodnikiem pańskim?

— O, nie! Dziewczyna, w której obydwa byliśmy zakochani, już dawno nie żyje! Ciało jej zostało znalezione w rzece pod przylądkiem Carrowa.

— Ani z powodu ran, które, jak mówisz, z jego ręki otrzymałeś?

— Tem mniej za to. Co się tyczy mojej osoby, z serca przebaczam mu wszystko, co mi kiedykolwiek złego wyrządził! Milordzie! — dodał, chwytając Joego za ramię, aby powstać z krzesła, — od dzieciństwa byłem w służbie szlachetnych Mowbrayów rodziny. Z wdzięcznością jadłem chleb moich panów. Pokładano we mnie zaufanie; byłem prawie kochany od nich, jeżeli mi wolno tak się wyrazić. Byłbym umarł z ochotą dla dowiedzenia im mej wdzięczności! Bóg dozwolił, aby życie moje użytek im przyniosło!... Czy wielmożny pan pozwoli, abym jedno postawił pytanie?

— I owszem! — odrzekł lord Shark, pierwszy sędzia.

— Czy wasza wielmożność uważał w mojem zeznaniu chęć utajenia prawdy, lub jej nadwerężenia?

— Bynajmniej.

— Teraz mów pan dalej! — odezwał się Marcin do adwokata Gork. — Jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania.

— Wybornie! — mruknęło dwóch czy trzech zawistnych adwokatów zachwyconych porażką ich uczonego kolegi.

— Milordzie! — rzekł Gork, kłaniając się z uszanowaniem przed trybunałem sędziów, — chociaż pytania i odpowiedzi dosyć były niezwykłe, cieszę się jednak, że się wydarzył ten mały epizod, gdyż on nastręcza mi sposobność okazania w prawdziwem świetle tych, co nas oskarżają.

— Zapominasz, kolego, że w obecnej sprawie korona jest stroną skarżącą, — odpowiedział poważnie pierwszy sędzia, — i że w kwestyi zabójstwa nie można przypuścić, aby korzystnie lub nieprzyjaźnie względem więźnia była usposobioną.

— Milordzie, uważałeś zapewne, że rozprawy przerywano kilkakrotnie w sposób nieprzyzwoity, wesołością wcale niestósowną, która bez wątpienia waszą wielmożność równie jak mnie i wszystkich obecnych zadziwiła. Ale zadziwienie w oburzenie się zmieni, milordzie, skoro powiem, że to przerywanie od nikogo innego nie pochodzi, tylko od kata, którego tu wprowadzono, i to umyślnie, aby zmięszać, przestraszyć i dokuczyć memu nieszczęśliwemu klientowi w chwili, gdy chodzi o śmierć lub życie dla niego!

— To kłamstwo, milordzie! — zawołał Mat Cowls powstając z miejsca. — Nikt mnie tu nie wprowadził; przyszedłem z własnej woli, z własnego natchnienia!

Kiedy poruszenie ogólne uśmierzyło się w sali, jeden z agentów policyjnych przytrzymał Mat Cowlsa. Wszystkie oczy zwróciły się na niego; ale powszechna uwaga nie zmięszała kata.

— Co ma znaczyć to nieprzyzwoite przeszkadzanie? — zapytał lord sędzia.

— Nie popełniam nic nieprzyzwoitego, milordzie! — odrzekł Mat Cowls, zbyt jestem roztropny, abym coś podobnego czynił.

— Kto cię tu wprowadził?

— Przyjaźń, milordzie! więzień i ja żyliśmy z sobą w ścisłej przyjaźni w Newgate; nie prawdaż, Willu?

Obżałowany zadrżał na całem ciele.

— Sądzę, że w tym wypadku mogę dać niejakie wyjaśnienie, milordzie, — przemówił

adwokat koronny. — Ten nieszczęśliwy u kratek umknął niedawno z Newgate, gdzie był aresztowany z powodu zamachu na życie notaryusza sir Williama Mowbray.

— Jakto, więc drugie zabójstwo?

— Nie inaczej, milordzie; gdyby w dzisiejszej sprawie został za niewinnego uznany, ajent policyjny czeka nań, aby go uwięzić dla osądzenia za drugą zbrodnię.

Mat Cowls rozśmiał się szyderczo.

— Możesz usiąść, — rzekł mu sędzia na pół gniewny, a na pół zadowolony; — tylko więcej nie przerywaj!

Pomimo wymownej obrony adwokata Gork, świadectwa zbyt były potępiające; sąd przysięgłych wydał wyrok śmierci.

Jeszcze raz dało się słyszeć piekielne krząknięcie; ale zanim wykonano rozkaz szeryfa, względem przytrzymania Mata Cowls, ten już opuścił salę sądową.

Po ogłoszeniu wyroku, sędzia nie zostawił Sidelerowi żadnej nadziei ułaskawienia. Więzień skamieniały z przerażenia, został przez dozorców do kaźni zaprowadzony.

XLI.

Miasto Norwich, dawna stolica Est-Anglów, często, i nie bez powodów, nazywanem było miastem ogrodów. Ulice jego wązkie i niejednostajnie zakładane, są na przemian przerywane ogrodami i zielonemi trawnikami, które w wysokim stopniu przyczyniają się do podniesienia malowniczego widoku całej okolicy.

Oprócz zamku, pięknej staroświeckiej warowni saksońskiej, którą nowożytni Soloni hrabstwa niedawno upiększyli, a która wspaniale wznosi się na wzgórzu pośród płaszczyzny w samym środku miasta leżącej, Norwich posiada i inne gmachy, mogące zająć badacza starożytności i artystę: Wspaniały kościół katedralny, dwa piękne staroświeckie pałace i trzydzieści sześć kościołów, nie mówiąc już o kilku ogromnych pałacach, niedawnemi czasy na przedmieściach wybudowanych.

Zostały się jeszcze szczątki murów z wieżycami, któremi miasto było otoczone; ale bramy ze strzelnicami, zajmujące pomniki średniowiecznej budowy, znikły pod młotem Wandalów, którzy tytułem burmistrzów i aldermanów zaszczyceni, rządzili warownią, i byliby sprzedali nawet grobowe kamienie, leżące nad spróchniałemi kościami swych przodków, gdyby za nie kilka szterlingów uzyskać mogli.

W miejscu, gdzie nikną ostatnie ślady rowu niegdyś zamek otaczającego, ciągnie się kręta uliczka, zwana Rose-Lane, zamieszkana głównie przez ubogich tkaczy i wyrobników, zatrudnionych w lejarniach Watson i Ker.

W epoce naszej opowieści, mieszkańcy uliczki Rose-Lane tworzyli społeczeństwo odrębne od reszty miasta. Opłata za najem domków i ogródków była bardzo nizka; ludzie biedni i uczciwi zwykle tam się chronili, a chociaż zbytek nie był między nimi znany, nie było też rzeczywistego niedostatku. Było to plemię ludzi prostych, pracowitych i spokojnych, którzy wraz z przesądami i zabobonami, zachowali zalety i uczciwość wieśniaków i rzemieślników angielskich.

W starym murze z cegieł, ciągnącym się po prawej stronie tej uliczki, znajdowały się drzwi niewielkie, dające jedyny przystęp do całego gniazda domeczków, z których każdy posiadał malutki ogródek jarzynami i owocowemi drzewami zasadzony. Jeden z takich domków był mieszkaniem mężczyzny chudego, wzrostu słusznego, czcigodnej powierzchowności, na którego sąsiedzi patrzeli z przerażeniem.

Mieszkańcem tym był Sam Lane, kat miasta Norwich.

Jedynym jego towarzyszem był wnuk jego, chłopczyna blady i wątłego zdrowia, mający około trzynastu lat wieku. Biedne dziecię nie miało rówieśników do towarzystwa; nikt z nim bawić się nie chciał, wszyscy go unikali. Przesąd, który od dawnych lat starca samotnikiem uczynił, otaczał również jego potomka. Jeżeli się zdarzyło chłopczynie przekroczyć obręb małego ogródka, który położony na szczęście za domem, nie był przystępny dla oczu sąsiadów, dzieci z poblizkich mieszkań szydzili z niego lub rzucali za nim kamieniami. Chociaż się nie użalał, biedny osamotniony chłopczyna czuł jednak żywo to smutne położenie; serce jego wyziębło a lodem ścięły się źródła żywotności i zdrowia bladego dziecięcia.

Samotność zawczasu marzycielem go uczyniła. Była to jedna z tych istot nieszczęśliwych,

które los skazał na wyparcie się uciech dziecięcemu wiekowi właściwych.

Chociaż Sam Lane nie był człowiekiem bez wykształcenia, nie dbał o naukę swojego wnuka; może był tego zdania, że lepiej dlań będzie, jeżeli w nieświadomości zostanie wychowanym. Wiedza rozwija umysł i serce, a starzec chciał je w nim przytłumić. Pozwalał jednak dobremu staruszkowi, imieniem Blackmore, żeby wieczorami przychodził i uczył czytać chłopczynę.

Gdyby mógł przewidzieć co z tego wyniknie, byłby może przed nim drzwi zamknął. Uczeń pochłaniał nauki, tak, że wkrótce mistrz jego nie miał mu więcej nic do udzielenia.

Blackmore, który był dawniej nauczycielem wiejskiej szkółki, serdeczne powziął współczucie dla ucznia tak gorliwego i pojętnego i postanowił wyrwać go, jeżeli można, z tego osamotnienia, które w nim zarody życia tłumiło. Napisał w tym celu do jednego ze swoich znajomych, kapitana okrętu kupieckiego, który w Londynie mieszkał. Ten polegając na jego poleceniu, podjął się przyjąć Rubena, — tak się chłopiec nazywał, — na pokład jednego okrętu, który miał właśnie do Indyi odpłynąć, ale pod warunkiem, żeby mu dano wyprawę, to jest: bieliznę i suknie potrzebne, coby kosztowało najmniej dwadzieścia kilka funtów szterlingów, a takiej sumy ani Blackmore, ani dziad Rubena zebrać nie mógł.

Chłopca wysłano z izby do ogródka, podczas gdy starzy rozmawiali o tej sprawie.

— Szkoda opuścić tak korzystnej sposobności, nie prawdaż, panie Blackmore? — przemówił kat, — ale cóż mam począć? Wszystko co posiadam, nie warte i dziesięciu funtów.

— Sądziłem, żeś pan sobie uskładał trochę gotówki?

— Uskładał! niestety! omyliłeś się pan. Kupując, muszę za każdą rzecz drożej płacić niż inni, i jeszcze nie chcą mi nic sprzedać. Gdybym jutro umarł, potrzebaby spieniężyć łóżko i tych kilka krzeseł, albo udać się do urzędu parafialnego aby mi pogrzeb daremnie urządzili...

— Nie masz pan przyjaciół?

— Przyjaciół? — powtórzył kat z goryczą; — dziwię się doprawdy, panie Blackmore, że człowiek tak rozsądny jak pan, może mi zadać podobne pytanie.

Nauczyciel pogrążył się przez kilka chwil w zamyśleniu. Miał właśnie głos zabrać, gdy silnie do drzwi zapukano.

— Proszę wejść! — rzekł Sam Lane.

Podeszły człowieczyna, niemiłej powierzchowności, drobny, chudy i zwiędły, odziany w czarne suknie wytarte, które nie dla niego zdawały się być zrobione, wszedł do kuchni.

— Czy pan się nazywasz Sam Lane? — odezwał się do kata.

— Ja.

— Pan piastujesz urząd kata w mieście i w całem hrabstwie?

— Rzeczywiście, — odparł gospodarz z westchnieniem.

— Mam z panem pomówić, — rzekł przybyły.

— Zapewne w interesie?

— Tak jest, — odpowiedział nieznajomy z uśmiechem szyderczym, który brzydką twarz jego jeszcze szkaradniej wykrzywił. — Nie przypuszczam, aby tu kto dla rozrywki przychodził! Nazywam się Mat Cowls!

Usłyszawszy to nazwisko, Lane szybko się zerwał i podał stołek swemu koledze.

— Słyszałem coś pan mówił, — odezwał się przybysz siadając — i chcę w tym samym przedmiocie rozmówić się z panem... w cztery oczy.

Blackmore wstał i wyszedł do Rubena.

— Pan zatem pragniesz pozbyć się z domu malca, — mówił dalej Mat Cowls po odejściu nauczyciela. — Rzemiosło dziada nie nęci go jak uważam? Czcze przesądy! ale od ludzi mieszkających na prowincyi nie można zbyt wiele wymagać...

— Biedny chłopczyna wart lepszego losu! Nie miło to wieść życie w tem pustkowiu, i być celem obelg i naigrawań dla tego tylko, że dziadek jest oprawcą! Nastręcza się sposobność wysłania go na morze, ale zachodzi trudność, jak znaleźć...

— Dwadzieścia funtów szterlingów na wyekwipowanie chłopaka, — przemówił Mat. — Wiem o tem, wiem... wszystko słyszałem. Dwadzieścia funtów! to kwota znaczna! Ale niech się pan nie troszczy. Ja się o nią wystaram.

XLII.

Z brzaskiem dnia tłum począł się powoli zgromadzać przy rusztowaniu, które w nocy wzniesiono na placu przed więzieniem. Ludność nietylko z miasta i przedmieść się zeszła, ale i z okolicznych wiosek. Tak wielką była zgroza wskutek strasznej zbrodni Willa Sideler, że w całej tej rzeszy nie podniósł się ani jeden głos litości dla zbójcy. A przecież było tam mnóztwo ludzi z Opactwa Carrow, którzy od dawna, bo od dzieciństwa znali zbrodniarza, lecz znali oni także i ofiarę, zacnego i dobroczynnego sir Williama Mowbray.

Najbliżej rusztowania, w pierwszym szeregu zgromadzonych widzów stał nasz znajomy pastuszek, Red-Ralf. Jeszcze nigdy nie widział wykonania wyroku śmierci, był więc niecierpliwy, jak dziecię, które po raz pierwszy do teatru prowadzą.

Czy skazaniec wyzna swoją zbrodnię, czy zginie w zatwardziałości? Pytanie to było przedmiotem licznych rozpraw. Jak zazwyczaj, mnóstwo kobiet znajdowało się w ciżbie; sceny przerażające zdają się szczególnie zajmować płeć słabą.

W miarę zbliżania się godziny śmierci, niknęła opryskliwość Sidelera. Słuchał napomnień kapelana, chociaż z nieprawdziwą skruchą, lecz raczej kołysany szaloną nadzieją, że jakiś wypadek nieprzewidziany zachowa go przy życiu. Żałował mocno, że oskarżył Mirana-Hafaz, swego współwinowajcę.

Gdyby młody Indyanin żył jeszcze, to dzięki swym wpływom i bogactwu, byłby może znalazł sposób odwrócenia srogiego losu, jaki go czekał.

Nawet w tej strasznej ostateczności, zbójca nie rozumiał, że sąd pochwycił go w swoje szpony bez ratunku.

Kapłan i osądzony więzień znajdowali się sami w małej więziennej kaplicy. Napróżno zacny pastor usiłował nakłonić Sidelera do wyznania zbrodni. Na wszystkie jego nalegania, królikarz bądź odpowiadał, że jest niewinnym, bądź zachowywał ponure milczenie; znajdował w tem rodzaj zadowolenia, żeby nie zaspokoić ciekawości nieprzyjaciół. Mogą mnie powiesić, mówił sam do siebie, ale nie zdołają zmusić mnie do zeznania.

Od czasu do czasu zwracał wzrok niespokojny ku drzwiom, zkąd dochodził przestraszający szmer tłumu, oraz głośne stąpania stróżów więziennych, którzy w korytarzu oczekiwali uderzenia dwunastej godziny, aby skazańca na rusztowanie zaprowadzić.

Nic tak nie zaostrza słuchu, jak przerażenie.

Oblicze zbójcy powlokło się trupią bladością gdy zarządzca więzienia czarno ubrany wszedł do kaplicy; wejrzeniem porozumiał się z kapelanem.

— Jeszcze nie ma dwunastej! — wyjęknął przelękły więzień; — niepodobna, aby już było południe!

Silne zapukanie do drzwi uwolniło zarządzcę, pana Johnstone, od odpowiedzi.

Głos chrypliwy szeryfa odezwał się, żądając w imieniu króla, aby ciało Williama Sideler, przekonanego o zabójstwo, zostało mu wydane w tym celu, by złoczyńca był powieszony według brzmienia wyroku przez sąd przeciw niemu wydanego.

Drzwi się rozwarły i szeryf ukazał się w towarzystwie ajentów i pół tuzina dozorców więziennych.

Mruknąwszy kilka słów z pospiechem, szeryf wręczył panu Johnstone pokwitowanie, jako odebrał ciało skazanego. Sideler został natychmiast oddany oprawcy, Matowi Cowls, który ukryty za dozorcami, patrzył z szatańską niecierpliwością na swoją zdobycz.

Skoro królikarz ujrzał znajomego kata, opanowało go drganie konwulsyjne; napróżno chciał przemówić lub się ruszyć; przestrach tak dziwnie nim owładnął, że język prawie mu skamieniał. Zanim nieszczęsny zdołał ochłonąć z wrażenia, Mat Cowls ze zręcznością nabytą długiem doświadczeniem, związał mu w tył ręce.

— Jesteśmy gotowi, panowie! — rzekł następnie Mat z największym spokojem, jakby żałosne krzyki skazańca były rzeczą najprostszą w świecie, i wcale go nieobchodzącą.

Powtórzono rozkaz wyruszenia. Kapelan zaczął odmawiać modlitwy za umarłych, a dwaj

dozorcy więzienni odprowadzili Sidelera aż do rusztowania.

Tuż za nim postępował kat, ze stryczkiem w ręku.

Słysząc gwar tłumu, zbójca nagle się uspokoił. Objął spojrzeniem całe morze głów ludzkich, i u progu wieczności, wyzionął straszne przekleństwo...

Pospólstwo rozeszło się powoli...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Starzec zamilkł, łzy płynęły mu po twarzy; nikt nie śmiał tego milczenia przerywać. Każdy litował się nad nieszczęśliwym starcem, a potępiał Zbigniewa.

Po chwili spytano:

— Więc Zbigniew był przyczyną śmierci Jaxy i jego żony?

— Więc Zbigniew był sprawcą tego nieszczęścia?

— Więc Zbigniew porywcą Halki?

— Tak, to on był, — rzekł starzec, trzęsąc prawicą. — On był mordercą rodziców mej żony, on porywcą mej Halki, on zabójcą mych dzieci. Ja mu przebaczam, oby i Bóg wszechmogący nie zażądał od niego rachunku!...

Zdzisław zamilkł i zatonął w dumaniu.

Młodzieniec uratowany z piwnicy długo się w starca wpatrywał. Raz łzy mu w oczach stawały, to znów twarz powlekła się lekkim odcieniem radości. Nareszcie gdy starzec skończył, rzekł młodzian:

— Starcze, imię wam Zdzisław, lecz jakie nosicie rodowe miano?

Starzec spojrzał na niego.

— Miano? Nie powiedziałem go dawno nikomu, na cóż mam je teraz tobie powiadać?

— Ależ czemu? Chociaż Zbigniew, brat wyrodny, zadał wam cios tak srogi, są jednakże inni, godniejsi od niego, którzy się tego samego miana powstydzić nie potrzebują.

— Dajmy temu pokój, — rzekł starzec i machnął ręką. — Nie pytaj mnie o miano, bo ci go nie powiem. Może moi powinowaci używają swego miana z chlubą, na cóżbym miał ich teraz zdradzać.

— Ależ starcze, — rzekł młodzian z ogniem, chociaż ty twego miana wydać nie chcesz, to

ja ci je wyjawię. Tak, nie inaczej, ty nim jesteś.

— Kim? — rzekł starzec, wpatrując się pilnie w młodziana.

— Tyś jest Zdzisław Strzymski!

Starzec zasłonił twarz rękami i westchnął. Dumał chwilę, ręce mu się trzęsły, wahał się czas niejaki. Nareszcie odjął dłonie od twarzy i rzekł:

— Nie omyliłeś się młodzieńcze. Lecz któż ty jesteś, co mnie znasz?

— Jam jest Wojciech Strzymski, syn Junosza.

Jaskinia rozległa się okrzykiem zdziwienia, a Wojciech rzucił się Zdzisławowi na szyję.

Po chwili rzekł Wojciech:

— Stryju! opowiadanie wasze jest niestety prawdziwe; mój świętej pamięci rodzic często mi o tem powiadał. Zbigniew po tem okropnem wydarzeniu zniknął bez śladu. Później dowiedziano się, że z jednym małym chłopczykiem, a waszym synem, udał się do Ziemi świętej, aby tam na grobie Ukrzyżowanego Zbawiciela świata błagać o przebaczenie za popełnione bratobójstwo. Tam zginął bez wieści. Co się zaś z drugiem dziecięciem stało, nikt o tem nie wie.

Skirmunt pilnie się przysłuchiwał całemu opowiadaniu. Kiwał głową, czasami wykrzyk: ach! ach! wydobywał mu się z piersi. Gdy Zdzisław opisywał położenie Jaxowej zagrody, Skirmunt potakiwał znowu: tak samo, tak samo!

Gdy Wojciech skończył, rzekł Skirmunt:

— Mówicie, że nikt nie wie, co się z drugiem dziecięciem stało? O! to nie prawda, bo ja to wiem.

— Wiecie? — zapytano.

Zdzisław i inni spojrzeli nań z zadziwieniem.

— Niech was to nie dziwi, — ciągnął dalej Skirmunt, — lecz — jak się to stało, opowiem. Słuchajcie:

— Będzie temu blizko lat trzydzieści, jak byłem z rodzicem Adama Kostrzewskiego w okolicy Gniezna. Nagle rozeszła się wieść, że Prusacy najechali granicę Polski. Pojechałem z panem; dopędzeni Prusacy ponieśli klęskę, a my wracamy. Jednego dnia jedziemy przez gęsty las, potem pokazuje się gołaźnia, a na niej widzimy palącą się zagrodę. Kostrzewski, ja i dwóch innych, skoczyliśmy w tę stronę. Dwa trupy leżały przed domem, a niedaleko małe dziecię zranione. Skoczyłem do trupów, kobieta jeszcze żyła. Wskazała ręką ku północy i tylko te słowa wyrzekła: dziecię... Jerzy... Pr... ale już nie dokończyła. Opadła martwa bez duszy. Wziąłem dziecię, zobaczyłem ranę, nie była śmiertelną, tylko lekkie pchnięcie włócznią. O jedną staję może leżał inny trup, ze strzałą utkwioną w piersi — to byłeś zapewne ty Zdzisławie. Nie braliśmy cię, bośmy cię mieli za umarłego. Dziecię zabraliśmy ze sobą i tu na Kostrzewie się wychowało. Było to ładne chłopię, któremu, pomny na słowa umierającej staruszki, dałem imię Jerzy. Ma teraz około trzydzieści lat i czarną plamę na lewym policzku.

Przytomni w milczeniu przysłuchiwali się Skirmuntowi, a Zdzisławowi stoczyły się dwie wielkie łzy po licu. Nie mógł się stary utrzymać na siedzeniu... opadł.

— Więc to był mój syn? O! jakże serce nie wyskoczyło mi z piersi, gdym go zobaczył, gdym z nim mówił! Ten Jerzy, ten dziarski młodzian, to poczciwe serce... to mój syn! Kochałem tego młodzieńca nie wiedząc czemu. Serce moje poznało w nim syna, chociaż ja o tem nie wiedziałem. O! grzechy moje bardzo ciężkie, gdy mnie Bóg tak srogo karze. Synu mój, Jerzy! miałem cię długo, nie wiedząc, żeś ty moim synem; a ty, że ja twój ojciec!...

Tu łzy przerwały mu mowę.

— Zobaczę go jeszcze kiedy?

Nikt nie umiał mu na to odpowiedzieć.

* * *

W parę lat później na miejscu gruzów i zwalisk stanął nowo odbudowany Kostrzew, nierównie piękniejszy i warowniejszy.

Ci, którzy znali tajemne podziemia tego zamku, zobowiązali się przysięgą do zachowania tajemnicy. Za staraniem wojewody krakowskiego zniesiono banicyę, wracając Kostrzewskiemu wszelkie prawa i przywileje. Niestety! Adam już tego nie potrzebował — już dawno snem śmierci ujęty, spoczywał w mauzoleum (grobowcu) baszów Antyocheńskich. Skirmunt wywiadywał się o pobycie wygnańców, nawet Jan odbył pielgrzymkę do Palestyny, ale wieść o Kostrzewskim przepadła. Jan był w Antyochii, ale czyż mu przez myśl przeszło szukać ich w tym stopniu i stosunku? Podróże Jana spełzły na niczem, i z bolesnem sercem powrócił na Kostrzew.

Tymczasem młoda Marya, czyli raczej Palmira, pędziła życie wesołe, niczem niezakłócone. Rozumiała, że basza Hakim jest jej ojcem, kochała go więc tak jak ojca. Za staraniem Jerzego nauczyła się mówić czysto po polsku, lecz nie miała wyobrażenia o religii chrześciańskiej. Na wzór wszystkich wyznawców koranu była nawet nieprzyjaciółką tych, którzy w proroka nie wierzyli.

Przykro było Maryi i Jerzemu, ale z obawy, aby basza nie kazał dziecka zabrać, nic jej nie wspominali ani o jej pochodzeniu, ani o wierze chrześciańskiej. Jednak mieli nadzieję, że gdy wrócą do ojczyzny, wtenczas się owo nieuniknione złe naprawi.

ROZDZIAŁ VI.

Za panowania króla Władysława Hermana poruszył się świat cały. Europa z Azyą starła się, bój się krwawy rozpoczął i tysiące tysięcy ludu życie utraciło. Powód do tego dało uciemiężanie i prześladowanie chrześcian od Azyatów, muzułmanów. Ziemia święta ze wszystkiemi drogiemi chrześcianom pamiątkami dostała się w pierwszej połowie VII wieku w ręce Arabów. Naród ten, lubo chrześcianom nie przychylny, pozwalał jednak za małą opłatą pielgrzymom nawiedzać Grób Zbawiciela, zapewnił im bezpieczeństwo, a chrześcianom w Palestynie mieszkającym, wolność. Ta swoboda atoli zamieniła się w srogie prześladowanie, gdy Szelczuki, naród dziki i okrutny, roku 1072 zdobyli Palestynę. Chrześcian prześladowano jak najokropniej, pielgrzymów poniewierano, rzadko kiedy dopuszczając ich do Grobu Zbawiciela. Ucisk ten spowodował pewnego francuzkiego pustelnika, imieniem Piotra, a który na własne oczy przekonał się o niegodziwości Szelczuków, że udał się do Papieża ówczesnego, Urbana II, który opowiadaniem Piotra wzruszony, zwołał sobór kościelny do Klermontu, miasta położonego we Francyi. Piotr zaś ze swej strony objeżdżał po świecie, opowiadając ucisk i prześladowanie, a wzywając do obrony Ziemi świętej. Na sobór zebrały się okiem nie przeliczone tłumy ludu, a gdy Papież przemówił, gdy wystawił żywo obraz ucisku i nędzy chrześcian w Syryi, taka obecnych zdjęła litość, że w głos płakano, i natychmiast mnóztwo postanowiło ciągnąć do Azyi na obronę. Wszyscy ci, którzy się do tej wyprawy zgłosili, przypinali sobie krzyż z czerwonego sukna.

Cała Europa chrześciańska posłała tam swych rycerzy. Ze wszystkich krajów ciągnęli ochotnicy. I nasza Polska znalazła między swemi dziećmi gotowych do obrony wiary św.

W roku 1096 dziwiła się Azya nowym przybyszom; rozmaite ubiory, języki wszystkich narodowości przedstawiły się zdumionym Azyatom.

Byli to krzyżowcy.

Zapieniła się Azya, poznawszy zamiar Europejczyków — ogniem i mieczem tępiono przybyszów. Skwar, głód, przybyły w pomoc muzułmanom, srogo przerzedzały zastępy chrześcian. Rycerze zbrojni z trudnością mogli się poruszać w piasku i górach, kiedy przyzwyczajeni do tego Azyaci lekko się uwijali. Żywności potrzebujący krzyżowcy siłą się o nią starać musieli — tu i owdzie trzeba było z konieczności użyć gwałtu, za co znów krajowcy mścili się okrutnie.

Tymczasem dobywano miasta jedno po drugiem. Do Antyochii doszła wieść, że się krzyżowcy zbliżają. Emir, natenczas panujący, rozkazał miasto mocniej obwarować i w żywność zaopatrzyć. Basza Hakim przeniósł się z haremu na konia. Pod jego okiem wzmocniono miasto i urządzono do zaciętej obrony.

Antyochia nie długo na krzyżowców czekała. W wielkiej liczbie zbliżyli się pod mury miasta.

Basza udał się do Maryi.

Minęło ośmnaście lat od czasu, kiedy Maryą opuściliśmy. Nie była to już owa świeża, hoża Marya, jaką dawniej na Kostrzewie widzieliśmy, ale poważna, podeszła w leciech matrona. Na twarzy miała jakąś smętność rozlaną — rysy twarzy regularne, napiętnowane były jakowymś odcieniem smutku.

Obok niej stoi anioł-dziewica, młoda Palmira, żywy, odświeżony obraz matki. Liczyła właśnie siedmnaście wiosen. Jej kibić wysmukłą osłaniała długa biała suknia, ściśnięta w pasie przepaską, suto drogiemi perłami ozdobiona. Na głowie miała lekki muślinowy zawój, z pod którego gęste sploty czarnych włosów spadały na ramiona.

Właśnie rozmawiały obie.

— Palmiro, — mówiła Marya — Europejczycy się zbliżają. Przeczucie mi mówi, że ta okoliczność na nasz los wielki wpływ wywrze. Gdyby tak było, a ja już z tobą nie będę, bądź Jerzemu posłuszną i idź, gdzie on cię zawiedzie.

Czarne oko Palmiry powlekło się mgłą, a wesoła dotychczas twarzyczka pokryła się smutkiem.

— Matko, droga matko! oddal od siebie te czarne myśli. Jesteś silna, a wielki Ałłach jeszcze cię długo w mojem objęciu pozostawi. Ja co dzień o to go błagam.

— Bóg dobry, kochane dziecię, będzie mnie miał w swej pieczy. Ale, Palmiro, różnie się trafia. Mogliby nas rozłączyć.

— Matko, ja cię nie opuszczę.

— A właśnie cię o to prosić chciałam. Możesz śmiało Jerzemu zaufać, bo on bardzo dobry człowiek. Jeżeliby on cię namawiał do wiary Europejczyków, nie opieraj się, bo on tylko twego dobra pragnąć będzie. A gdyby ci jakie tajemnice wyjawił, wierz mu, bo on mówi prawdę. Wierz mu, a będziesz szczęśliwą.

— Niezrozumiałe dla mnie rzeczy mówisz, kochana matko. Ja ci zawsze byłam posłuszną i czyniłam chętnie, co mi rozkazałaś, bo twe rozkazy były dobre i zbawienne. Dziwi mnie tylko, że mi mówisz, abym przeszła na wiarę Europejczyków. Matko droga, ty chyba żartujesz, lub mnie chcesz doświaczyć. Mamże się wyrzec nieba? mam być po śmierci z tobą rozłączoną?

— Palmiro, ty wiesz, że ja cię kocham, ty wiesz, że pragnę twego dobra. Słuchaj mnie przeto i Jerzego, a będziesz szczęśliwą... I ja kiedyś byłam w Europie... tam się urodziłam... tam...

Tu się drzwi otworzyły i wszedł basza. Był bardzo smutny. Zbliżył się do Maryi i rzekł:

— Stanowcza chwila nadeszła, krzyżowcy są pod murami. Za chwilę bój się rozpocznie: może zginę. Już moi trzej synowie polegli od miecza niewiernych, więc jestem sam na świecie. Chętnie życie moje położę w obronie ojczyzny, jeżeli Ałłach tego odemnie wymagać będzie. Ale ty, Maryo, nie masz obowiązku względem mego kraju, nic cię tu nie wiąże, zwłaszcza, że nasze dzieci pomarły. Jesteś więc wolna. Jedź z córką napowrót w twe ojczyste strony... jedź i bądź szczęśliwą. Ja tu zostanę, będę bronił mego rodzinnego miejsca i tu śmierć poniosę.

— Nie, Hakimie, nie! nie wymagaj tego po mnie. Dzieliłam z tobą życie przez tyle lat, niechże i teraz los z tobą podzielę. Chociaż dwoje naszych dzieci umarło, to przez to węzeł nasz nie jest rozerwanym, a ja go dobrowolnie zrywać nie będę.

Tu rzuciła się Hakimowi na szyję i chwilę płynęły tylko łzy z jego i z jej oczu.

— Maryo, — mówił znowu Hakim, — odeślij przynajmniej Palmirę, niechaj ród twój nie wyginie od miecza niewiernych. — Tu zwróciwszy się do Palmiry, rzekł tonem rozkazującym: — wyjdź! przygotuj się do podróży, natychmiast wyjedziesz do Europy okrętem dla was przygotowanym.

Palmira przywykła do ślepego posłuszeństwa, wybiegła szybko z komnaty. Zalała się rzewnemi łzami, oparła się o ścianę na korytarzu i stała nieruchoma.

W tem położeniu zastał ją Jerzy; wziął ją za rękę i zaprowadził do jej komnaty. Tam już były przygotowane pudła i paczki z kosztownościami, uszykowane do podróży. Palmira rzewnie płacząc, rzuciła się Jerzemu na szyję.

— Jerzy! Jerzy! i ty chcesz mnie także oderwać od matki? Masz ty sumienie? O! nie wiedziałam, że masz tak nielitościwe serce!

— Moje dziecię, — rzekł Jerzy, — dzisiaj wyrzucasz mi, że mam nielitościwe serce, ale kiedyś podziękujesz mi za to. Bądź pewna, że i matka za nami przypłynie do Europy.

— Nie, nie, matka tu zostanie, nie chce baszy odstąpić. Słyszałam to na własne uszy.

— Wiem o tem, — rzekł Jerzy, — ale się spodziewam, że prędzej, czy później wróci się do nas. A teraz, dziecię kochane, idź się z matką pożegnać.

Palmira ubrana już do podróży, poszła się z matką pożegnać. Tę chwilę opisać za trudno. Obie niewiasty padły sobie w objęcia, długo, długo nie mogły do siebie ani słówka wymówić, gdyż łkania, dławiąc ich, tamowały im mowę.

Wtem wszedł Jerzy.

— Jerzy! — rzekła Marya, tyś był moim jedynym przyjacielem w czasie mego tułactwa. Oddaję ci teraz moje dziecko w opiekę, bądź dla niego opiekunem, tak jak nim byłeś dla mnie. Zaprowadź moją córkę do rodzinnego gniazda... może będzie szczęśliwszą odemnie. Ona jeszcze

nic nie wie; nie powiadaj jej też o niczem prędzej, póki się nie przekonasz, że może spokojnie osieść na Kostrzewie. Jedź z nią, pamiętaj na to, coś Adamowi przy śmierci przyrzekł!

Na wspomnienie Adama łzy puściły się z oczu Maryi i Jerzego, a Palmira, która przemowy matki nie zrozumiała, stała zdziwiona, spoglądając to na matkę, to na Jerzego. Marya łzy otarła, schwyciła Palmirę za rękę i pobiegła z nią do mauzoleum. Tam uchyliwszy wieko srebrnej trumny, wskazując ręką na nabalsamowaną mumię, rzekła do Palmiry:

— Palmiro! to twój ojciec!...

Dziewica nie pojmowała przez chwilę, czy to sen, czy to na jawie — stała osłupiała, ale spojrzawszy na twarz matki, pojęła całą prawdę. Z jękiem rzuciła się na martwe ciało Adama, całując je ze łzami.

Jerzy, który za niemi do mauzoleum przybył, wziął obie niewiasty i odprowadził do komnaty. Tam Palmira schwyciła matkę w objęcia. Długo konwulsyjne łkania rwały im się z piersi, aż nareszcie strumienie łez ulżyły boleści.

— Matko nie powiesz mi mego początku? rzekła Palmira wśród rzewnego płaczu.

— Nie mogę Palmiro, przysięgą jestem związana, ale Jerzy wszystko ci swego czasu opowie.

Dotychczas milczący Jerzy zaczął naglić do odjazdu.

Zemdlałą Palmirę zaniesiono na okręt, a za nią wszedł Jerzy. Wiatr zadął w żagle, okręt puścił się z falami w zawody, a patrzącym: baszy i Maryi coraz w oczach malał, aż nareszcie znikł w przestworzu.

* * *

Tymczasem krzyżowcy podciągnęli pod same miasto. Tego samego dnia przypuścili jeszcze szturm do miasta. Basza przybył do Maryi na pożegnanie; zastał ją omdlałą w ręku dziewic. Potem szybko wybiegł na pole walki.

Po dziewięciu miesiącach Antyochia wpadła zdradą w ręce Europejczyków.

Jeden krzyżowiec ze zbroczonym mieczem wpadł do haremu i zaczął przebiegać komnaty. Zdziwiony przepychem tamże panującym, oglądał wspaniałe obicia, dywany, fontanny. Otworzył inną komnatę i wszedł. Siedziała tam niewiasta tak w myślach zatopiona, że ani jego obecności nie spostrzegła. Krzyżowiec wpatrywał się czas niejaki w te smętne, wspaniałe, szlachetne rysy, które go mimowolnie uszanowaniem przejęły. Lecz ktoby rysy owego wojaka mógł widzieć, byłby spostrzegł, jak na jego twarzy coraz nowsze uczucia się malowały. Najprzód zdziwienie, trząsnął głową, potem znów się wpatrywał pilnie, potem niby się wachał, jak gdyby sam z sobą był w niezgodzie. Nareszcie zawołał mocnym głosem po polsku:

— Marya Kostrzewska!

Marya zerwała się na te słowa, serce mocno jej zabiło i spojrzała na przybysza.

Tymczasem Europejczyk przybliżył się cokolwiek z uszanowaniem i rzekł:

— Wszakże się nie mylę, tyś jest Marya Kostrzewska, żona Adama Kostrzewskiego, który przed ośmnastu laty uszedł do Palestyny, aby uniknąć zemsty Michała Różewskiego, czyli raczej uszedł wskutek rzuconej nań banicyi. O! tak, poznaję, to ta sama twarz, lubo wiekiem i przeciwnościami zmieniona.

Przebudzona Marya na głos ojczystej mowy, której tak dawno nie słyszała, ochłonęła z trwogi, podniosła się i rzekła:

— Tak, jestem ta, o której mówisz, ale ktoś ty jest?

— Jam jest Wojciech Strzymski, jeden z niegodnych najeźdzców Kostrzewa, którego Bóg cudem od śmierci wybawił. Nie jestem godzien, Maryo, stanąć przed twem obliczem... przebacz!

Marya się zadumała. Cała przeszłość stanęła jej w oczach. Z niecierpliwą ciekawością wypytywała się Wojciecha o szczegóły z Polski. Wojciech opowiedział jej, co zaszło na Kostrzewie, że banicya zniesiona, że Skirmunt, Zdzisław i Jan jeszcze żyją Nawzajem Marya opowiedziała mu pokrótce bieg swego żywota. Płakał Wojciech nad jej nieszczęściami, których doznała, przeklinał Michała, który jego wplątał w czyn tak haniebny.

Podczas tego opowiadania otworzyły się drzwi i wszedł Hakim związany w towarzystwie zbrojnych krzyżowców. Marya z krzykiem rzuciła mu się na szyję.

Basza mówił ponuro:

— Nie wiem, jak długo Ałłach jeszcze mi żyć pozwoli, przeto Maryo, chcę w twej obecności roztworzyć testament mego ojca.

Krzyżowcy, którzy już niejaki czas w Syryi bawili, znali cokolwiek ten język, więc nadstawili z ciekawością ucha.

— Basza, mój ojciec, dał mi zlecenie, — mówił dalej Hakim, — abym prędzej puszki, w której testament ma być złożony, nie otwierał, chyba w ostatnich momentach mego życia. Niewierni! wiem, że mnie zamordujecie, dozwólcie mi przeto zobaczyć, co mi mój ojciec miał do zlecenia. Nad żywymi się pastwicie, lecz pewno tyle macie szlachetności, że woli umarłych będziecie posłuszni.

Zaciekawieni krzyżowcy przyzwolili chętnie. Była to metalowa puszka, w której się znajdowało pismo Hakimowi nieznajome. Jeden z krzyżowców wziął pismo i czytał, jak następuje:

„Wacławie, gdy to czytać będziesz, moje kości już dawno spróchnieją, a ciało stanie się pastwą robactwa.

Nie jesteś moim synem!

Jeszcze nie masz pojęcia, nie mogę ci tego ustnie powiedzieć, bo nimbyś przyszedł do rozumu, zapomniałbyś. Piszę więc moje zeznanie; może to pismo dostanie ci się później w ręce.

Jesteś Polakiem. Twój ojciec nie żyje, a ja jestem jego zabójcą...

Nie potępiaj mnie, czytaj najprzód wszystko, a potem wydaj sąd i wyrok...

Z trzech braci, Junosza, Zbigniewa i Zdzisława...

— Wielki Boże! — wykrzyknął Wojciech Strzymski, — co słyszę? miałżeby?...

Spojrzeli wszyscy na niego z zadziwieniem. lecz Wojciech rzekł:

— Czytajcie dalej.

Krzyżowiec czytał:

„Z trzech braci, Junosza, Zbigniewa i Zdzisława, ja jestem średnim. Ja i Zdzisław chcieliśmy jednę dziewczynę mieć za żonę, obaj ją kochaliśmy. Ze zazdrości podniosłem na brata bratobójczą rękę, ale jego dobre i szlachetne serce darowało mi życie, gdy moja strzała jego serce minęła. O! czemuż mnie nie zabił? czemuż skierował łuk w górę? Oby ta strzała, która niewinnego kruka życia pozbawiła, była utkwiła w mej piersi!...

Stało się inaczej...

Zdzisław ożenił się z Halką. Kochałem tę istotę... kochałem ją więcej nad me życie, a jednak dla miłości brata ustąpiłem...

Chciałem iść we świat, uciec zdala od rodzinnej strzechy, ale mi Zdzisław odmawiał... a potem — ja kochałem Halkę i brata...

Halka była twoją matką. Było was dwóch chłopczyków: bliźniąt.

Kochałem was bardzo, nosiłem was na ręku, nie wiedząc, że się stanę mordercą waszego ojca.

Jednego dnia ujrzałem dym w stronie zagrody Zdzisława. Siadam na konia, w momencie stawam na miejscu... lecz o zgrozo!... Prusacy właśnie dobijali...

— Biedny Zdzisławie, jak się pomyliłeś, — zawołał znowu Wojciech, a łzy stanęły mu w oczach, — ale czytajcie dalej!

Krzyżowiec czytał.

....Prusacy właśnie dobijali Jaxę, ojca Halki, a twego dziadka. Babka twoja leżała już bez duszy. Prusaków było pięciu. Napiąłem łuk, strzała furknęła i jeden poganin powalił się nad trupem Jaxy. W tem jeden z nich porywa na konia matkę twoją, inny zabitego przezemnie, a trzeci przebija jedno dziecię, twego brata włócznią. Struchlałem, posłałem strzałę za porywcą, a Prusak spadł z konia. Reszta uciekła w las. Schwyciłem Halkę i uniosłem... w tem strzała z boku wypada i tonie w piersiach Halki. Krzyknąłem z wściekłości, a w tym momencie druga strzała z przeciwległego boku świsła mi koło ucha. Zwróciłem się w tę stronę, zmierzyłem... twój ojciec z jękiem upadł na ziemię.

Bóg mi to bratobójstwo przebaczy, gdyż ja wziąłem na cel człowieka, któregom miał za Prusaka, nie poznawszy w nim brata...

Zdzisławie! ty stoisz przed tronem Najwyższego Boga, tam wiesz już o wszystkiem. Ty wiesz, że cię kochałem, ty wiesz, że mordercza strzała była przeznaczona zabójcom, a nie tobie... mnie Bóg pewno za me grzechy bratobójstwem, lubo nierozmyślnem, ukarał!

Zabiłem twego ojca. Stanąłem jak wryty. Strzały Prusaków jeszcze raz przebiegły mi mimo głowy, świsnąwszy w uszy: bratobójca!... o! czemuż mnie minęły! czemuż nie rozdarły mego zakrwawionego serca? Halka już nieżyła... ukląkłem nad jej ciałem.

Boże odwieczny! Ty nie patrzysz na czyny, ale patrzysz na serce! Ty wiesz, że niewinny jestem krwi brata mego, lubo ręka moja jego krwią zmazana...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

DŁUGI, SZEROKI I BYSTROOKI.

(Ciąg dalszy.)

— Kto ty jesteś? — zapytał królewicz, — i co umiesz?

— Ja, mój panie, nazywam się Szeroki i umiem się rozszerzać.

— Pokaż mi to!

— Odejdźcie czemprędzej do boru, a spieszcie się — zawołał Szeroki, i począł się rozdymać.

Królewicz nie wiedział, dla czegoby miał odjechać; lecz widząc długiego, umykającego z największym pospiechem do boru, spiął konia ostrogami i popędził za nim. A miał czego się spieszyć, bo inaczej Szeroki byłby go wraz z koniem udusił; brzuch jego rozrósł się na wszystkie strony, tak że go wszędzie było pełno, jak by się góra roztoczyła. Nareszcie przestał Szeroki się rozdymać, wydmuchnął powietrze ze siebie, tak że drzewa leśne się uginały i znowu takim się stał, jakim był poprzednio.

— Nieźle mnie przegnałeś! — rzekł królewicz, — lecz takiego chłopa nie prędko znajdę; pójdź ze mną!

Potem szli dalej, a gdy się do skalisk zbliżali, napotkali człowieka, który miał oczy chustką zawiązane.

— Panie, to jest nasz trzeci towarzysz, — rzekł Długi, — tego także powinniście wziąść w służbę; nie jadłby on chleba darmo.

— Kto ty jesteś, — zapytał go królewicz — i dla czego oczy masz zawiązane? Wszak ani drogi nie widzisz?

— Ba! — odrzekł zapytany, — właśnie dla tego, że zbyt bystro widzę, muszę sobie oczy zawięzywać, a oczami zawiązanemi widzę tak, jak inni otwartemi. Gdy chustkę zdejmę, przenikam wszystko; przedmioty zaś, na które bystro popatrzę, zapalają się, a co się zapalić nie może, pęka i rozpada się. Dla tego nazywam się Bystrooki.

— To rzekłszy, obrócił się do przeciwległej opoki i zdjąwszy chustkę skierował na nią swój wzrok ognisty, a opoka porozpękiwała i rozsypała się tak, że w krótkiej chwili piasek tylko z niej pozostał. W piasku coś błyszczało. Bystrooki pobiegł i przyniósł to królewiczowi. Było to szczere złoto.

— Tyś chłop nieoceniony! — rzekł królewicz; — byłbym głupim, gdybym nie chciał z ciebie korzystać! A skoro tak doskonałe masz oczy, zobacz przeto i powiedz mi, jak daleko do Żelaznego zamku i co się tam dzieje?

— Gdybyście sami jechali, panie, może byście jeszcze w rok do niego się nie dostali; z nami zaś dziś jeszcze tam staniecie. Właśnie przygotowują w zamku dla nas wieczerzą.

— A cóż tam robi moja narzeczona?

W wieży za kratami
Czarodzieja mocą,
Otoczona strachami,
Tęskni dniem i nocą.

Królewicz rzekł:

— Kto jest moim przyjacielem, niech mi pomoże ją uwolnić!

Wszyscy obiecali, że mu pomogą. I nie tracąc czasu, przeprowadzili go wyłomem, zrobionym przez wzrok Bystrookiego, przez opoki potem przez wysokie góry i gęste lasy; coraz dalej, a dalej, a gdzie była w drodze jaka przeszkoda, zaraz ją trzej towarzysze usuwali. Gdy słońce chylić się poczęło ku zachodowi, zaczęły góry być niższemi, lasy rzedszemi, opoki paprocią zakryte, a gdy już zachód słońca był blizki, ujrzał przed sobą królewicz Żelazny zamek. Gdy słońce zachodziło wjeżdżał mostem żelaznym przez bramę, a gdy zaszło, most się podniósł sam przez się i bramy nagle się zawarły, czyniąc królewicza i towarzyszy jego więźniami.

Rozpatrzywszy się na dziedzińcu zamkowym, dał królewicz konia swego do stajni, widocznie już dla niego przyrządzonej — i poszedł wraz

z towarzyszami do zamku. Na dziedzińcu w stajni, w sali zamkowej i w pokojach widzieli w pomroku wiele bogato ubranych ludzi — panów i sług; lecz żadna z tych osób się nie poruszała; wszystkie były skamieniałe. Minąwszy kilka pokoi, dostali się do sali jadalnej, jasno oświeconej. W środku sali był stół nakryty na osób cztery, obficie zastawiony wybornemi potrawami i napojami. Czekali tam długo, myśląc, że ktoś nadejdzie, a gdy nikt się nie zjawił, zasiadłszy sami do stołu, najedli i napili się do woli.

Po nasyceniu się, gdy oglądać się zaczęli za miejscem spoczynku, wszedł drzwiami raptownie rozwartemi czarnoksiężnik, w postaci starca, pochylonego w długiej czarnej sukni, z głową łysą i brodą siwą, do kolan sięgającą. W miejsce pasa otaczały go trzy żelazne obręcze. Starzec ten prowadził za rękę dziewicę cudownej urody, w odzieniu białem, srebrną przepaską spiętem. Dziewica ta, mająca koronę z pereł na głowie, tak była blada i smutna, jakby z grobu powstała. Królewicz poznawszy ją natychmiast, skoczył ku niej, lecz nim zdążył słowo wymówić, odezwał się czarnoksiężnik:

— Wiem, że tu przybyłeś w zamiarze wyprowadzenia ztąd tej królewny i nic nie mam przeciwko temu; możesz ją sobie wziąść, jeśli jej przez trzy noce tak strzedz potrafisz, że ci się nie wymknie. Gdyby ci znikła, zamieniłbyś się wraz z trzema sługami twymi w kamień, jak wszyscy inni, którzy tu przed tobą przybyli. — To rzekłszy, wskazał królewnie siedzenie i oddalił się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KLARA
— CZYLI —
ZWYCIĘZTWO CNOTY.

POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

— Nie, zaiste, zawołał Artur, tutaj nie chodzi o bogactwo lub ubóztwo. Szacunek matki, która tak doskonałą wychowała córkę, droższym mi jest, niż pochwały pań najznakomitszych. Powinienem czcić matkę Klary, bo jej zawdzięczam nieskończenie wiele. Przez nią stałem się lepszym człowiekiem. Słuchajcie całej tej przygody:

— Sprowadziłem Klarę na zamek Wildek, należący dawniej do mej zmarłej matki, urodzonej hrabianki Wildenau, która tam kazała przed swą śmiercią piękną wybudować kaplicę. Właśnie w tym czasie dostałem z Włoch prześliczny obraz Matki Bozkiej, pędzla jednego z najsławniejszych tamtejszych malarzy. Wystawia on Matkę Bozką z dziecięciem Jezus na ręku. Z pokoju, gdzie dawniej matka moja mieszkała, prowadzą tajemne schody do tej kaplicy. Ten pokój przeznaczyłem Klarze, która odkryła z niego drogę do kaplicy. Uklękła przed obrazem i w najczulszych wyrazach wylewała uczucia serca swego, błagając Boga o ocalenie jej niewinności, o pociechę dla was, o poprawę swego ciemięzcy. Mnie nie dały spoczynku: niespokojność serca i wyrzuty sumienia. Niby duch jaki błądziłem po ciemnych gankach mego zamku. Za zrządzeniem Bożem przyszedłem do kraty, przez którą można wszystko widzieć, co się dzieje w kaplicy. Spojrzałem doń i ujrzałem piękną, pobożną Klarę, klęczącą przed ołtarzem. Jej twarz, opromieniona blaskiem jarzącego światła, jaśniała takim wyrazem niewinności, pobożności i cnoty,

jakiego w życiu nie widziałem jeszcze. Łzy rzewne płynęły po jej licach. Modliła się głośno w głębokiem wzruszeniu. Jej słowa zdradzały szlachetność i wesołość jej umysłu. Załamywała ręce w najżywszej boleści, lubo nadzieja w miłosierdzie Boga zdawała się nie opuszczać jej jeszcze. Uczucie świętego poszanowania owładnęło mnie mimowolnie. Zdawało mi się, iż widzę przed sobą anioła z niebios zesłanego. Sam się uznałem za szatana. Szacunek przed godnością Klary, pokonał mą szaloną namiętność. Uczułem po raz pierwszy, iż jest coś wznioślejszego na świecie, nad to, co naszemi pięciu zmysłami pojąć zdołamy. Piorunujący głos Boga ozwał się w mojem sumieniu:

— Biada człowiekowi, który taką niewinność uwieść, takiego anioła przywieść do upadku, taką dziewczynę na całe życie nieszczęśliwą uczynić zamierza! W tej chwili złożyłem Bogu przysięgę, iż oddam tę dziewicę nieskażoną jej matce, iż ją przeproszę za wyrządzoną zniewagę, i jej późniejszym losem opiekować się będę.

— Lecz, mówił dalej Artur po chwili milczenia, z słów Klary, które słyszałem w kaplicy, domyślam się, iż serce jej już jest zajęte. Czy wiecie co o tem? Czy znacie owego szczęśliwego młodzieńca? Czy pochwalacie jej wybór?

Kunegunda opowiedziała rycerzowi otwarcie całą historyą miłości Klary, od przygody, w której Rudolf ratował jej życie, aż do chwili, gdy Klara przy zdroju Maryi przyrzekła matce poświęcić Bogu tę miłość i tak szlachetnie dotrzymała słowa.

— Więc kiedy słaba dziewczyna mogła to uczynić, rzekł Artur z wzruszeniem, dla czegoż i ja nie mógłbym mieć dosyć mocy do poświęcenia miłości mojej Bogu. Lecz, mówił dalej, dobra Klaro, niechaj twoja szlachetność wynagrodzoną ci będzie w tem tu jeszcze życiu. Najslodsze życzenia twego serca, które tak ochoczo poświęciłaś Bogu, zostaną jeszcze spełnione. O jakże się cieszę, iż łzy boleści, które ci wycisnąłem, w radość jeszcze zamienić zdołam! Moje serce przejmuje ta nadzieja szczerem rozrzewnieniem. Czuję, iż ta bezinteresowna miłość daleko więcej uszczęśliwić nas zdoła, niż owa samolubna namiętność, której mylne nazwisko miłości dajemy.

Rycerz kończąc te słowa, ujrzał przez małe okienko izdebki zbliżającego się ku nim Rudolfa. Młodzieniec prosił Kunegundy zaraz po zniknieniu Klary, gdyby ona już się znaleźć nie miała, by ta raczyła uważać go za syna i przyjęła od niego wsparcie, które już z żadnych samolubnych widoków pochodzić nie mogło.

Matka przyjęła to oświadczenie i z rozrzewnieniem nazywała go swym synem.

Rycerz Artur dał znak Kunegundzie, by zamilczała jeszcze przed Rudolfem o swojem przedsięwzięciu, chciał bowiem wprzódy poznać sposób myślenia tegoż, i powoli oznajmić mu radość, która nań czekała.

Blady i smutny wszedł piękny, szlachetny młodzieniec do lichej komnaty, pozdrowił smętnie i uprzejmie matkę swej ukochanej Klary, i wyjął z swej torby myśliwskiej kilka kuropatw, które ubił był dla niej tego ranku. W innych okolicznościach nie byłby Artur mógł widzieć tego młodzieńca bez uczucia żywej zazdrości. Ale w tej chwili było serce jego za wielkie do tej poziomej namiętności. Postawa Rudolfa więcej też litości niż zazdrości wzbudzała. Piętno boleści, wyryte na jego twarzy, oskarżało także Artura, który pomyślał w tej chwili:

— Wielki Boże, jakże wielu nieszczęśliwych uczynić zdoła jedna niegodziwa namiętność!

(Dokończenie nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Urzeł polny, ziele to rośnie na wygonach i pastwiskach, lub pustych polach; pręt ma rumiany i wysoki, a na wierzchu wiele pęcherzów, na kształt języków, a na nich drobniuchne nasienie. Jako lekarstwo, bardzo służy na żółtaczkę. Lud wiejski używa tego ziela na puchlinę.

Weronika, Przetacznik ziele, rośnie po suchych lasach, ciągnie się po ziemi; listki ma podłużne, ciemnozielone, kosmate a kwiat kłosisto modry. Ma wielkie a dobre skutki na płuca, choćby już gnić zaczynały; także na kaszel, suchoty i szkorbut, używany często jako herbata. (D. c. n.)